PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 27. *Warszawa, 4 lipca 1914.* Widok 3.

L. ABRAMOWICZ.

Zagadkowe jutro.

W chwili, gdy prasa warszawska wałkowała po akademicku kwestję «ujednostajnienia frontu», padły w Serajewie strzały, wywołując zamęt i spustoszenie w niejednej dotychczasowej orjentacji politycznej.

Niespodziewana śmierć austrjackiego następcy tronu, jakiekolwiek będą skutki bezpośrednie zamachu młodego fanatyka serbskiego, pociągnąć musi zasadnicze przemiany w najprzeróżniejszych koncepcjach, opartych o losy monarchji Habsburskiej.

Franciszek Ferdynand bowiem, jako indywidualność wybitna, nadawał kierunek polityce państwowej austrjackiej i wszelkie perspektywy i rachuby na przyszłość były związane nierozerwalnie z jego osobą. Wprawdzie kierunek ten nie był dostatecznie wyraźny, — być może stawała temu na przeszkodzie wola panującego monarchy, krzyżująca się podobno niejednokrotnie z tendencjami następcy tronu, — niemniej w przewidywaniach i kombinacjach dyplomatycznych liczono się z aspiracjami przyszłego cesarza Austrji, jako z czynnikiem określonym.

Czynnika tego nagle zabrakło.

Przyszłość najbliższa Austrji, budząca ostatnimi czasy tyle wątpliwości, dziś staje się problematem, istotnie trudnym do rozwiązania i w wysokim stopniu niepokojącym.

Nadchodzi godzina próby.

W państwach jednolitych pod względem narodowościowym, a przynajmniej z przeważającą większością jednej narodowości, wytwarza się pojęcie interesu narodowego, jako podstawy programu polityki zagranicznej. Program ulega, oczywiście, ustawicznym fluktuacjom, treść jego zasadnicza pozostaje jednak niezmienna, będąc wyrazem zbiorowego instynktu życiowego panującej narodowości. Zmiana kierowników nawy państwowej ma tam znaczenie podrzędne.

Austro-Węgry stanowią zlepek kilku terytorjów o ludności mieszanej. Żadna z narodowości nie posiada decydującej przewagi. Wprawdzie wpływy niemieckie dominują dotychczas w Wiedniu, węgierskie zaś w Budapeszcie, lecz, o ile chodzi o interes ogólnopaństwowy, czynniki powyższe ustępują miejsca interesowi dynastycznemu, który dotychczas, mimo ustroju konstytucyjnego i dążności decentralistycznej, nie przestał odgrywać głównej roli, bodaj nie mniejszej, niż za czasów absolutyzmu.

W tych warunkach osoba panującego jest kwestją wagi pierwszorzędnej, gdyż nie jest on tylko reprezentantem i wyrazicielem sił społecznych, działających konsekwentnie lub żywiołowo, lecz twórcą samodzielnym ideologji państwowej.

Gdy osiemdziesięcioletni przeszło Franciszek Józef od szeregu lat nie zdradzał żadnych twórczych pomysłów, zmarły tragicznie Franciszek Ferdynand, przeciwnie, wykazywał skłonności wysoce ambitne, roił plany szerokie i uchodził powszechnie za inspiratora polityki imperjalistycznej, którą Austrja wskrzesiła po dłuższym letargu, anektując Bośnię i Hercegowinę.

Polityka zagraniczna, jaką Austrja uprawia w latach ostatnich, spotyka się naogół z ostrą krytyką. Zarzucają jej chwiejność, wysługiwanie się interesom Niemiec i szereg błędów oraz niepowodzeń faktycznych. Niemniej jest to polityka czynna, ekspansywna, z pewną myślą przewodnią.

W tym leży zasługa Franciszka Ferdynanda, który zrozumiał, że Austrja musi iść naprzód i rozwijać swój organizm państwowy, inaczej czeka ją wyniszczenie, rozkład.

Ustrój federalistyczny, ku któremu zwolna zmierzała monarchja Habsburska, nie mógł jej zapewnić trwałego bytu. Przedewszystkim związek federacyjny nie jest zdolny do podjęcia zadań polityki zewnętrznej na szerszą skalę, stanowiąc formę skomplikowaną, pozbawioną przewodnictwa jednej kierowniczej woli. Z natury rzeczy przeznaczony on jest jedynie do funkcji obronnej, do utrzymywania *status quo*. Pozostawanie zaś w stanie biernym dla Austrji jest niemożliwością, chociażby ze względu na odbywające się procesy dojrzewania aspiracji niepodległościowych wśród poszczególnych składowych części monarchji w związku z ciążeniem ich ku tworzeniu całości narodowo-terytorjalnych.

Nawet gdyby stosunki wewnętrzne nie pozostawiały nic do życzenia, gdyby zapanowała idealna harmonja pomiędzy rywalizującymi narodowościami i autonomicznymi krajami, — nawet w tak utopijnych warunkach — spokojne bytowanie państwa Austrjackiego jest nie do pomyślenia.

Bowiem z pośród dziesięciu narodów, w skład jego wchodzących, tylko trzy — Węgrzy, Czesi i Słowacy — mieszczę się w całości na terytorjum państwa. Pozostałe stanowią większe lub mniejsze cząstki organizmów etnicznych, znajdujących się poza granicami Austrji i świadomie lub nieświadomie ciążących do zjednoczenia.

Naturalną więc tendencją rozwojową Austrji jest rozszerzanie granic aż do wcielenia całości poszczególnych organizmów narodowych. Gdyby temu zadaniu podołać nie mogła, dążności odśrodkowe musiałyby ją rozsadzić.

Sądząc z opinji, której — zapewne nie bezpodstawnie — zażywał zmarły następca tronu, pojmować on się zdawał konieczność wytknięcia dla państwa linji w kierunku jaknajszerszej ekspansji i tą drogą zamierzał postępować, wysuwając interes dynastyczno-państwowy na czoło polityki.

Kula irredentysty serbskiego przecięła pasmo tych marzeń o wielkiem imperjum naddunajskim.

Czy nowy następca tronu potrafi je nawiązać? — oto zagadka, od której rozwiązania zależy los Austrji.

I jeżeli znajdzie w sobie chęci, siły i zdolności po temu — w jakim kierunku podąży i na jakich czynnikach państwowo-twórczych się oprze — oto pytanie, które muszą sobie zadawać w pierwszym rzędzie politycy galicyjscy.

Czy zadają wszakże?

Narzeka się ustawicznie na supremację wpływów niemieckich i węgierskich w polityce zagranicznej austrjackiej — fakt to niewątpliwy, lecz czyja w tym wina? Dynastja w swych zamierzeniach, daleko sięgających, musi się opierać o żywioły, mające tradycje i aspiracje państwowe, opierając się zaś o nie, ulega ich wpływom. To jest zupełnie zrozumiałe. Czy Polacy w Austrji kusili się o zajęcie stanowiska współrzędnego z Niemcami i Węgrami, czy zabiegali o wpływ na politykę państwową, zgodnie z interesem narodowym polskim?

Gołuchowscy, Badeniowie, Bilińscy mieli niejednokrotnie możność faktycznego kierowania nawą państwową; czy korzystali ze sposobności, by zaważyć na losach monarchji w myśl elementarnego interesu polskiego? Czy mieli ambicje samodzielne, czy mieli na względzie dobro Polski?

Nie, byli tylko posłusznym narzędziem, wykonawcami cudzej woli, podporządkowywali interes narodowy wskazaniom niemiecko-madziarskim, zamiast wytężyć swe usiłowania, by zagaić nowy kurs polityki dynastycznej.

Wierni wyznawcy zasady: «Przy twoim tronie stoimy» uważali wszelkie odchylenie od tradycji dyplomacji wiedeńskiej za brak lojalizmu, zapominając, że są mężami stanu, nie sługusami, czekającymi na skinienie pana.

Bo i jakże mieli ogarniać szerokie horyzonty, gdy środowisko, z którego pochodzili, było tak dalekie od zrozumienia zadań polityki narodowej, gdy całe niemal społeczeń-

stwo polskie w Galicji grzęzło w bagnie prowincjonalnym, nie odczuwając zgoła potrzeby odświeżenia zatęchłej atmosfery?

Aż oto zbudziło się wreszcie z wiekowej drzemki, drgnęło i wyciągnęło ramiona ku słońcu. Nie całe wprawdzie, ale część znaczna, a co najważniejsza, jędrna i zdrowa. Czy wyłoni ona z siebie polityków w wielkim stylu, rozumiejących donioslość obecnej chwili dziejowej, zdolnych do pchnięcia sprawy narodowej na nowe tory?

Nie widać ich dotychczas. Wśród tych nawet, co umieli wznieść się myślą nad poziom przeciętnego życia galicyjskiego, zapanowały swary i uprzedzenia. Wola zbiorowa, która, zdawało się, pręży się i skupia, idzie znów w rozsypkę. Ideję wielką przesłaniają lokalne antagonizmy.

A życie nie czeka. Pędzi w szalonych skokach, wyprzedzając niedołęgów i ślepców.

Taki skok uczyniło i teraz po przez trup austrjackiego następcy tronu.

Otworzyła się próżnia, którą zapełnić będą chcieli niewątpliwie ci i owi. Jak się zachowa społeczeństwo polskie?

Czy potrafi wyzyskać moment dogodny, czy znajdzie wśród siebie polityków odpowiednich?

Ostatnimi czasy rozprawiano wiele w prasie warszawskiej na temat potrzeby zorganizowania jednolitej opinji narodowej w stosunku do zagadnień polityki zewnętrznej. Spierano się, do kogo mają należeć funkcje kierownicze. Powstał nawet projekt fantastyczny «prytanejonu», niby najwyższej rady narodowej, złożonej z mędrców i artystów.

Nie przyszło wszakże nikomu na myśl, że jeden człowiek może rzucić zbawienne hasło i poprowadzić naród za sobą, byle miał punkt oparcia, do rozwinięcia swego programu.

U nas go nie znajdzie, lecz w Austrji pole leży otworem.

Niestety, o program łatwiej, niż o człowieka.

ORION.

Echa Prawdy.

I. Nowa ustawa szkolnictwa prywatnego. II. Niebywałe tchórzostwo. III. Dmowszczyzna w *Myśli Niepodległej*.

I. W prasie warszawskiej ukazał się jednobrzmiący komunikat o nowej ustawie szkolnictwa prywatnego nadesłany przez Biuro Pracy Społecznej. Ogłoszenie całkowitego tekstu nowej ustawy zapowiada Biuro na czas blizki, wówczas to będzie można dokładnie zdać sobie sprawę z doniosłości nowej ustawy w życiu szkoły polskiej. Ustawa ta musi jednak uzyskać sankcję ostateczną; wówczas też dopiero będzie można mówić o niej, jako o czemś konkretnem, dziś jeszcze jest projektem. Projekt ten jednak, chociaż nie spełnia wszystkich postulatów szkolnictwa polskiego, o ile wejdzie w życie, będzie początkiem nowego okresu szkoły polskiej, szczeblem dalszym jej rozwoju, położy kres wszystkim przepisom tymczasowym, dowolnie interpretowanym, a ugruntuje się na stałej ustawie. Stosownie do brzmienia projektu wszystkie przedmioty mogą być wykładane w języku ojczystym prócz jęz. rosyjskiego, historji i geografi Rosji. Nowa ustawa uniezależnia program szkół prywatnych od programu szkół rządowych, otwarte więc pole daje do indywidualizji w kierunku kulturalnym, wychowawczym i naukowym szkoły polskiej.

Wyższe szkoly, a więc uniwersytety prywatne otrzymują prawo wykładu w języku ojczystym. Przedmioty rosyjskie t. j. język rosyjski, historję Rosji i geografję Rosji mogą wykładać również i Polacy. Oto poniekąd najważniejsze zasady nowej ustawy.

Szkoła polska po dziesięcioletnim jej istnieniu, wysiłkach i ofiarach ze strony społeczeństwa, złożonych na ołtarzu dobra narodowego, przez wprowadzenie nowej ustawy może zająć na koniec lepsze niż dotychczas stanowisko w naszym kraju. Nowa ustawa nie wprowadza rozstrzygających zmian, tak koniecznych, jak upaństwowienie szkolnictwa prywatnego, nie pozwala instytucjom samorządowym wspierać szkół polskich, umożliwia jednak stały i ciągły rozwój szkoły prywatnej, tej wielkiej placówki w kraju naszym.

Społeczeństwo powinno skorzystać z nowej ustawy i zająć się czynnie wspieraniem i rozszerzaniem podstaw szkoły polskiej, co raz więcej powinno powstawać szkół prywatnych pod opieką instytucji społecznych, uniezależnionych od zysków materjalnych tego lub innego przedsiębiorcy-przełożonego.

Być może wówczas też szkoła polska, gruntując się na tej nowej ustawie, stanie się naprawdę placówką kulturalną polską, godną wielkich tradycji, przekazanych jej przez Konarskiego, Czackiego, Czartoryskiego i tylu innych.

II. *Kurjer Zagłębia*, wychodzący w Sosnowcu, podał w r. 1912 wiadomość o zajściu w pewnej winiarni w Katowicach na Górnym Śląsku. Bohaterami tego zajścia byli oficerowie pruscy, którzy, słysząc rozmowę polską, zaczęli wygadywać na ten «psi język»!! Za *Kurjerem Zagłębia* powtórzył tę wiadomość wychodzący w Katowicach Biniszkiewicza *Dziennik robotniczy*, poprzednio upewniwszy się, że istotnie tak było. Z polecenia ministra wojny redaktorowi *Dziennika* wytoczono sprawę o obrazę oficerów, chociaż *Dziennik* nie wymienił ich nazwisk, a napiętnował tylko ich postępowanie, zwąc je «bezczelną prowokacją». Oskarżony Biniszkiewicz zwrócił się do *Kurjera Zagłębia* (pisma klerykalno-endeckiego) z prośbą o udzielenie informacji, ponieważ świadkowie mieszkają w Królestwie. I oto staje się rzecz bardzo brzydka. *Kurjer Zagłębia* odmawia informacji, odmawia adresów świadków, ponieważ ci obawiają się szykan pruskich, muszą zaś często przyjeżdżać do Katowic! *Kurjer Zagłębia* nie chciał nawet przysłać numerów gdzie był obszerny opis zajścia! Red. *Dziennika* na innej drodze dowiedział się nazwisk owych panów, sąd pruski zgodził się powołać ich na świadków — ale pozwy wróciły, ponieważ ci panowie widocznie postarali się o to, aby nie można było ich odszukać.

Piękne postępowanie — niema co mówić! Chodzi o obronę przed pruską butą i brutalnością, ale gdy trzeba spełnić najpospolitszy obowiązek, to panowie z *Kurjera Zagłębia* i owi obywatele, którym oficerowie pruscy wymyślali, chowają się w mysią dziurę. Sobkostwem swoim i tchórzostwem ułatwiają zadanie pruskim sądom.

Redaktora *Dziennika robotniczego* skazano na 500 marek kary, a w razie niezapłacenia — na więzienie. Ma je do zawdzięczenia... rodakom.

III. *Myśl Niepodległa* ostatnią swą dekadą, w której zawiera się odpowiedź na artykuł nasz «Między północą a zaraniem» dowiodła, że te wszystkie zarzuty zewsząd przeciwko niej kierowane, którym przez długi czas nie dawaliśmy wiary, były aż nadto usprawiedliwione. To pismo posiada, nie tylko słownik chamski, jak mogło się optymistom zdawać: ono szerzy ideologję chamstwa. W zaciekłej z pismami żargonowymi walce zeszło do poziomu żargonowej kultury. Operuje harmidrem i manjackim bełkotem, w których żałować należy jedynie tych rzadkich przebłysków słuszności, które jak paciorki giną w śmietniku blagi, oszczerstwa, płytkości i fanfaronady. Z szeregu wytoczonych przez nas zarzutów, niejednokrotnie bardzo ciężkich, *Myśl Niep.* nie zbiła ani jednego: gniewem usiłuje pokryć fakt przyłapania jej przez nas na gorącym uczynku żonglerowania przekonaniami. Unikając spojrzenia rzeczom oko w oko, czepia się osoby nominalnego wydawcy naszego pisma, który wydawcą faktycznym przestał być już od pół roku, kierownikiem pisma nie był nigdy, a w życiu swym zresztą miał jedną tylko krótką chwilę słabości: mianowicie wówczas, gdy przez jakąś godzinę na serjo brał *Myśl Niep.* i jej wydawcę.

J. GRABIEC.

Pańskie dziady, — czy własna chałupa?

T. zw. ruch zaraniarski, dzięki nieprzyjaznym warunkom, w jakich żyjemy, nie zdołał uwydatnić swego oblicza dostatecznie jasno, wywołując najsprzeczniejsze o sobie opinje. Studjum p. Grabca jest próbą ujęcia syntetycznego tego prądu społecznego, zasługującego zewszechmiar na poważne i sumienne traktowanie.

Udzielając miejsca pracy p. Grabca, redakcja czyni zastrzeżenie, że bynajmniej nie podziela wszystkich wyrażonych w niej zdań i zapatrywań autora. Dotyczy to zwłaszcza tych ustępów, w których p. Grabiec porusza zagadnienie polskiej ideologji politycznej.

Redakcja.

I.

Wstępu słów parę.

Od roku zeszłego jesteśmy świadkami zainteresowania się ogółu naszego ruchem społeczno-politycznym, znanym pod nazwą — ludowcowego. Niemało do tego przyczyniła się afera Stapiński-Długosz w Galicji, pełna skandalów i będąca typowym przykładem rozkładu życia politycznego w tej dzielnicy; sporo też jest w tym zainteresowaniu zasługi ruchu „zaraniarskiego“ w Królestwie, który wytrwale opiera się nieludzkiej, rzeczywiście, nagance, a w ostatnich właśnie czasach otwarcie sztandar polityczny i społeczny ludowcowy wywiesił.

Nie powiem jednak, żeby prasa i publicystyka nasza pojęła swoje zadanie tak, jak była powinna. W kryzysie polskiego Stronnictwa Ludowego w Galicji, zakończonym rozłamem organizacyjnym ludowców tamtejszych, widziano jedynie tanią sensację — nieomal osobistą sprawę Stapińskiego. Ani przez myśl komubądź przeszło szukać genezy ruchu w układzie stosunków, ani jedno jakiejś bardziej krytyczne sprawozdanie, zarówno z przebiegu samego kryzysu, jak i z dziejów ruchu ludowego, nie ukazało się u nas. A przecież stronnictwo chłopskie, które w ciągu lat kilkunastu doszło do tego,

że wódz jego, niedawny agitator partyjny, mógł rozdawać teki ministerjalne, zasługiwało na to ażeby mu się bliżej przypatrzyć. Sam zaś ruch ludowy rozporządzający ogromną organizacją, mandatami w Sejmie i Radzie Państwa, należał do zjawisk, w życiu naszem zbyt poważnych, aby go zbywać milczeniem, lub też podawaniem w toku plotek oraz insynuacji.

Szczęśliwsi nieco już byli ludowcy w Królestwie. *Zaranie* i redaktor jej, zasłużony pisarz ludowy, od ćwierć wieku stojący wytrwale na stanowisku z rzadką u nas wytrwałością, Malinowski, od lat kilku są celem najniemożliwszych pocisków wszelakiej odmiany reakcji naszej.

Praca szczupłego kółka wyrobionych w ciągu lat ostatnich jednostek na polu, bądź publicystyki, bądź pracy oświatowej czy społecznej napotyka na przeszkody, absolutnie niezrozumiałe w kulturalnym społeczeństwie.

Dość powiedzieć, że bezkarnie uchodzi hasło zniszczenia szkoły gospodarczej, nie chcącej oddać się pod bezwzględną cenzurę proboszcza; nie wywołuje protestu podjudzenie z ambony do pogromów lub kramarskie reklamowanie stamtąd świstków, pełnych insynuacji: możliwą staje się zajadła walka przeciw czysto gosdodarczym zrzeszeniom, za to że chcą stanąć o własnych siłach, i t. d.

Gdy zaś „zaraniarze" ogłosili się ludowcami, a *Zaranie* wydrukowało szereg artykułów o idei ludowej i o polityce ludowej, wówczas posypały się zewsząd... nie krytyki lub repliki — broń boże, jedynie urągania i insynuacje najsprzeczniejsze w treści.

Jakiś gorący konspirator w odezwie „z pod Wawelu", wzywał uczciwych i szczerych zaraniarzy do zniweczenia samego *Zarania*, bowiem ono zdradą narodu a Targowicą jest, po za tym zaś cenzorskim manifestem mieści się cała gama mniej, lub więcej ciepłych słówek. *Gazeta Warszawska* bez ceremonji ludowców nazywała socjalistami. P. Lutosławski pouczał mnie, jako autora inkryminowanych artykułów o idei ludowej, że „dziewicza, lecz naiwna, pierwotna i surowa kultura umysłowa głowy ludowca nie może znieść nacisku treści, przemyślanej przez poprzednie pokolenia"; poważny radca *Kurjer Warszawski* wręcz drżał o przyszłość kultury i cywilizacji, wyczytał bowiem, że ludowcy chcą wyeliminować ze społecznej pracy całą inteligencję, i t. d. i t. d. *Tygodnik Polski* zaś głosem p. Heleny Ceysingerówny, wypowiedział moc uwag o ruchu zaraniarskim, z powodu broszury o ludowcach, z których to tylko widać, że ani ludowcom ani zaraniarzom nie mógł się przypatrzeć jeszcze. Natomiast p. Ceysingerówna skreśliła dzieje ruchu ludowego w Królestwie, które tu w streszczeniu, możliwie własnymi słowy autorki powtórzę.

Na początku była „garść inteligentów doktrynerów, pragnących wpływy swoje na lud przeciwstawić potężnym i dobrze zasłużonym długoletnią uczciwą pracą oświatową wpływom ówczesnej Narodowej Demokracji". Ta to właśnie złośliwa garść doktrynerów „wytworzyła" ruch zaraniarski, „który nazywa siebie ludowym, ale bynajmniej nie z łona ludu powstał".

Stworzony zaś przy wrzasku kawek (tak powiada p. C.) ruch zaraniarski „przed kilku laty wbiegł na bezpański, zdziczały, szalejem a ostami (czy to ma być rezultat „potężnych wpływów ówczesnej Narodowej Demokracji?") porosły ugór naszego życia i potrząsając pałką (podrobiona pamiątka po Szeli *nawias p. C.*) w stronę dworu i plebanji, wykrzykiwać począł na całe pustkowie: ja sam sobie! ja sam sobie"!...

„Upłynęło lat kilka — ruch zaraniarski jest już niemłody. Zdziałał niewiele: stworzył kilkadziesiąt kółek rolniczych o mizernym żywocie, jedną maślarnię i jedno pismo, które jest całego ruchu ośrodkiem".

Otóż o tych dziejach żywota ludowców w Królestwie — niestety, niemożna mówić przez sen. P. Ceysingerówna udaje, że przedrzemała sobie ostatni lat dziesiątek i wmawia w ogół rzeczy wręcz fałszywe. Toż przecie „Kółka Staszycowskie" powstały na $1^1/_2$ roku przed *Zaraniem* i przed zaraniarswem: tak samo jak „hasło sami sobie"; co się tyczy „potrząsania pałką", toć i wróble śpiewają o tym, kto do kogo dziś często z pałką, i to bynajmniej nie symboliczną pałką, przychodzi.

Przemilcza również p. C. że zaraniarstwo to tylko jeden z objawów ruchu ludowego w Królestwie.

Podkreślając wreszcie istnienie „jednego pisma będącego całego ruchu ośrodkiem". P. C. przemilcza, że było ich więcej, i że żadne nie skonało naturalną śmiercią, że wychodziły różne taktyką i temperamentem, a zgodne w ideologji.

Poprzestanę na tych przykładach, aby przedstawić stosunek prasy do ruchu ludowego, który ujawnił się u nas w postaci prądu mocnego a wartkiego, a przytym — jako zjawisko nawskroś swoiste.

Nie będę już mówił o różnych głosach „włościanina", „młodzieży" i t. d. o ludowcach zaznaczę tylko, że najprzyzwoiciej znalazła się względem ludowców — prasa otwarcie zachowawcza. Zwalczała ich, ale uczciwie, nie rzucając insynuacji — nie przekręcając treści. Owszem według swej możności dając pojęcie o istocie ruchu.

. . . .

Nie ulega wątpliwości, że żyjemy w okresie przeistaczania się pojęć politycznych w społeczeństwie naszym, co musi sprowadzić niechybnie zupełne zmiany w podstawie różniczkowania się stronnictw i partji politycznych. Dotąd byliśmy jedynym bodaj społeczeństwem, gdzie obozy polityczne dzieliły się nie na podstawie różnicy w poglądach na sprawy wewnętrzne społeczne — narodu, lecz na zasadzie mniejszej lub większej krańcowości frazeologji na temat spraw zewnętrznych. Platoniczna ugoda, lub niemniej platoniczna irredenta, były biegunami naszych programów i haseł politycznych, między którymi zawierała się cała skala różnic, również całkowicie platonicznych. Sprawy wewnętrzne: rolna, robotnicza, kulturalne, były niemal zupełnie wykreślone z rzędu kwestji, którymi mogła się polityka narodowa zajmować — grupy zaś co te sprawy podnosiły uznawane były za „nienarodowe".

A przecież te owe „nienarodowe" sprawy są częstokroć kwestjami życia i śmierci dla narodu. Życie idzie wciąż naprzód brutalnie, rozbija marzenia, niweczy bezlitośnie najwspanialsze systematy myśli i do czynu, do twardej codziennej pracy, wszystkie narody woła.

Oderwani w swej polityce narodowej od życia, jesteśmy dziwacznym w rodzinie ludów zjawiskiem. Polska, co ongi spichlerzem Europy była, co, jako awangarda kultury Zachodniej, ogniska tej kultury stworzyła o kilkaset mil od swych etnograficznych granic, co dziś, w $^3/_4$ z żywiołów wyłącznie pracy się składa, ta Polska w patrjotyzmie swym, w swojej myśli narodowej, tak mało twórczego przyszłościowego posiada. Obok potężnych wytworów pracy ludzkiej, którymi chlubią się inne narody, my stawiamy nasze muzea, nasze ocalone z pogromu przed wiekiem, a zjedzone przez mole w czasie długiego pokoju sztandary. Wśród rzeszy narodów i narodków, z których każdy z twardą zaciekłością znojną pracą codzienną buduje sobie dach nad głową, bez czego naród, choćby z najwspanialszymi wspomnieniami, jest nędzarzem, Polska pieści się wspomnieniami o zamku swych praojców wspaniałym, niepomna, że brak jej dziś nawet chałupy własnej — że lud jej do wozów Drzymały wpędzony, a masy pracujące jej jak ongi kilkusettysięczne hordy koczowników, rokrocznie wyruszają do bogatych krajów po chleb czarny.

Daleko myśl polska od życia polskiego odbiegła, wracać jej na ziemię szarą czas wielki!

Ludowcy ze swą ideologją od samego początku — ziemi tej mocno się trzymają. „Idea ludowa", jak udatnie *Zaranie* nazwało dążności ludowców, zrodziła się w kraju, jako bezpośrednie echo skargi i pożądania duszy ludowej. Program ludowców urabiał się wyłącznie na podstawie twardej praktyki życiowej, a więc według pojęć współczesnych polityków, stał się „nienarodowym", odbiegającym od frazeologji na nigdy nie wyczerpany temat: ugoda czy iredenta? — daleko.

A jednak w obecnej chwili rozkładu dawnych pojęć politycznych i powstawania nowych formacji i haseł przyjrzeć się idei ludowej i samym ludowcom warto.

Dr. W. ORŁOWSKI.

Evoe vita!

„Niema fali potężnej, która idzie od młodych — niema wielkiej muzyki jutra. Młodym dusze zakrzepły" — woła z łamów *Tygodnika Ilustrowanego* jeden z publicystów starej daty w artykule „Niech żyje życie!" (*Tyg. Ilustrowany* N-r 24 1914 roku).

O tak, niech żyje życie! postokroć niech żyje! — poezjo precz, jesteś tyranem! takie rozgrzeszenie niejako na drogę życia dał nam Stanisław Wyspiański. Więc dziś trzebaby już tylko zawołać: uderzcie w wielki dzwon pogrzebu po zgonie „Młodej Polski", niech pocznie się pieśń życia. Na zachodzie już podobno ten okrzyk dobywa się z tysiąca młodych gardzieli: Evoe vita! — Nam jeszcze gra w uszach hejnał smutku „Młodej Polski", dalekie echa powtarzają skargi Judyma, beztreściwe ach! słowa, słowa Rozłuckiego... Nie było dotąd jeszcze protestu, a protest się ten zrodzić musi, a wtedy dopiero będzie można zawołać niech żyje życie! oto idą młodzi! Nie słyszy, ja wiem, że nie słyszy autor artykułu „Niech żyje życie" miarowego odgłosu ich kroków, karnego stąpania, ale ja słyszę, oto idą oni, słyszę tak, jakby tu przechodzili przedemną — śpiewają:

Którędy Jasiu, którędy Jasiu pojedziesz?
Czy przez dolinkę, czy przez dolinkę, czy przez wieś!?

A potem dalej brzmi radosna pieśń, skąpana w rosie porannej, i echem bieganie hen, ku sinym grzbietom Tatr, radosna, pełna optymizmu, nadziei; śpiewają ją mocne piersi i młode serca:

Przez wieś pojadę, przez wieś pojadę
Pojadę, pojadę.
Do mej dziewczyny, do mej jedynej
Po radę, po radę!
A cóż to będzie, a cóż to będzie za rada?
Kiedy dziewczyna, kiedy jedyna
Nie rada, nie rada!

W upalny czerwcowy dzień, po dwunastogodzinnym marszu, śpiewały setki młodych

i wtedy czułem jak zgodny rytm serc i ta piosenka rozbija na drzazgę wszystkie „białe pawie“, „chimery“, mistyczne muzyki nagich dusz, kawiarnianych nadludzi, zblazowanych dekadentów wpatrzonych wiecznie w chude uda dziewicze, symbolistów, etc. Bowiem na przekór wszystkiemu i wszystkim brzmiała pieśń: Evoe vita! — Uroda życia naszego! Zginęły pieśni, a w duszy rodzi się czyn... A chociaż jest na scenie mrok, żelaznych drzwi żelazna moc! — Konrad — młodość-potęga — chce te drzwi rozwalić. Nie wziął on harfy od starego wajdeloty, jeno moc.

— Dłonie jego nie do pióra, jeno do twórczego czynu!

A ci, co snują się jeszcze, maruderzy na bojowisku „Młodej Polski“, co niby to przyszli ze swoimi nowymi wydawnictwami, to nie wyraz młodych — to chudopachołcy, co baczą by z wozów skarbnych „Młodej Polski“ coś pochwycić; znaleźć ich można w zgodnym chórze, ze starymi są za pan brat, ich głos nie wzniesie się ponad chór głosów starczych, cudowne dzieci o wielkim sprycie, kupczyki, handlarze idejkami małymi, marnymi, nikłymi.

Już płaczą tymi samymi łzami, co ongiś płakała „Młoda Polska“, już smucą się na nutę „Młodej Polski“, są już epigonami epigonów, a tymczasem prawdziwa poezja życia, prawdziwy mocny czyn życia, zrodzić się może jedynie z protestu przeciwko „Młodej Polsce“. Po trupie „Młodej Polski“ przejść trzeba, śpiewając pieśń życia!

Giną echa pieśni na cmentarnych mogiłach, ale dusza młoda polska nie wsłucha się w ich daleki spazm. Jak „Roza Weneda“ rozetnie pierś bohatera i wyjmie serce nie rycerza, lecz... bohaterskiego amanta nastrojowca, którego serce drży jak liść osiny. Na wielkim stosie złoży nowoczesna Psyche polska nastrój słabych dusz, nadczłowieczeństwo kłamliwych magów, modernizm śpiewaków letejskich wód... a proch odrzuci precz, bo nie narodzi się z niego zwycięzca — w otchłaniach własnej polskiej jaźni znajdzie właściwy ton.

I nie trzeba, by nąs dopiero rozgrzewała „kultura entuzjazmu“ Verhaerena, jak chce p. Władysław Rabski — entuzjazm ten w nas żyje, on jest płodem polskiej gleby i polskiego nieba. Rodzi się jak burza i trwa w nas entuzjastycznymi wierszami pieśni. Nie uczyć się nam ni „kultury entuzjazmu“, ni entuzjazmu od cudzoziemców.

Nasz optymizm życiowy, niemal przysłowiowy, to drzewo na którym rodzą się owoce entuzjazmu.

Daleko nam do przesycenia się życiem — tryumfującą radość istnienia my lepiej potrafimy odczuwać niż Francuzi i Niemcy, my ze słowiańskiej rasy młodej, przed którą, tyle jest jeszcze do zdobycia.

A chociaż „u nas cicho“, a chociaż tu w Warszawie tylko wtedy głośniej gdy, toczy się jaki sensacyjny proces, jednak młoda psyche polska to nie ta dawna przed laty, gdy do snu usypiał ją „chochoł“, a na wzloty miejsca nie było — dziś przeobraziła się ona, odrodziła i stanęła w ogniach nowych pożądań! — Czegóż dowodzi bowiem wskrzeszenie dawnych wiar, które już miano za umarłe, jak nie świtu nowego odrodzenia, początku radosnej pieśni tryumfującego życia. Współczesna epoka zaniku wielkiej literatury dowodzi raczej, że się szala przechyla na korzyść życia. Wszak w najstraszniejszych chwilach naszego życia narodowego, gdy istotnie trudno było wznieść okrzyk szczery: niech żyje życie! wówczas to Konradową pieśnią grzmiał wieszcz, której równej niema, a później przyjdzie Sienkiewicz, Prus, Konopnicka — gdy znów życie ciemne i mroczne, i trzeba dopiero aż „Trylogji“ — bohaterów: Kmiciców, Wołodyjowskich, Longinusów, by „pokrzepić serca“

Dziś chociaż zasypia pieśń i milkną struny „Młodej Polski“ a nowych bardów polskich niema, w głębinach jednak narodowej duszy rodzi się życie, rodzą się ludzie, których przeznaczeniem jest wołać: poezjo precz! — *Evoe vita!*

I karnym jak posłuch krokiem idą z tym okrzykiem na ustach.

STANISŁAW BACZYŃSKI.

Krytycy i recenzenci.

Wilhelm Feldman.

II.

Tendencja w utworach literackich, lub specjalnych broszurach bywa usprawiedliwiona faktem klasyfikacji literackiej, w krytyce jednak zamaskowana, niechętne wyzierająca z pod okrągłych słówek, podchodzi, prowokuje nie do myślenia, lecz do bezmyślności, czyni tysiączne szkody tajnością działania i metody, jest ze względów myślowych zjawiskiem *niemoralnym*. Feldman węszy w każdym pisarzu ideał jeśli już nie ogólno ludzki, to demokratyczno-polski, o ile zaś go nie znajduje, władze jego krytyczne wyczerpują się, ślepną jeszcze dokładniej, pozbawione niegodnych rozpatrywania, odwiecznych banalności. Feldman jeszcze w wyższym stopniu niż inni wskazuje ścieżkę do najbrudniejszego z chlewów. Potocki czyni to jedną ręką, drugą wydziera się, Feldman zaś pada twarzą przed cielcem ogółu

i wielbi w krytyce rozpłodową czynność tęgich tryków stada, ich najpospolitsze i najbardziej zmechanizowane czynności.

Stąd wie Feldman z góry, czego poszukiwać ma w książce, i to nie w znaczeniu postulatów badacza, lecz doktrynerskich założeń, ogałacających krytyka z *metody*. Odwrotną stroną braku metody musi być *nadzieja*, że przecież coś powiedzieć się uda. Nadzieja ta wybiła piętno na pracach Feldmana w postaci wcale nie z bujnej myśli płynącej, lecz z braku pępowiny, rozmaitości zdań i poglądów.

Zewnętrzna maska twórcy w postaci „człowieczeństwa“, „smutku“, „radości“, pesymizmu lub optymizmu (co kto woli), wyżyłowany przez krytyka frazes, wyrwane zdanie, urywek wiersza, demonstracyjna i poglądowa wreszcie metoda stosowanej oceny zabezpiecza dostatecznie przed myśleniem o autorze, jako takim. Dla Feldmana, podobnie jak dla większości naszych krytyków, autor jest przedmiotem wyzysku dla swoistego celu pisywania krytyk.

O twórcy nikt się nie dowie z prac jego, wiele natomiast pozorów i uciechy, zacierania rąk zdawałoby się, milczącego przyklaskiwania, lub odpychających ciosów stworzyła krytyka Feldmana. Autor nie zyskuje na takiej krytyce, nie dowie się niczego o sobie, owszem, straci łączność z orjentacją w samo-analizie, jest ofiarą, przedmiotem grabieży. Krytyk w tym wypadku drżeć musi z trwogi przed możliwym zdemaskowaniem swej bezmyślności, krytycyzmu pozorów i kłamstwa o danej epoce czy autorze.

Literatura dla Feldmana jest rodzajem czerwonej płachty, którą torreador drażni nagle z więzów wyswobodzonego byka. Feldmana podnieca sam fakt jej istnienia, możność i łatwość (względna) pisywania krytyk, słowem mania *wytwórczości*, zbliżona w określeniu do Moleschota definicji myśli, jako wydzieliny organicznej,—w danym wypadku potu.

Feldman nie widzi twórcy, słyszy słowo: twórca, nie dostrzega sztuki, wzwyczaił się do niebezpiecznej zabawy jej migotliwą skórą węża. Stara się tedy zarezerwować sobie drogi ujścia, cofa się w porządku, natrafiwszy na myśl lub problem, chytrze podpatruje *słabe*, łatwo rosnące strony i o ile nie powie za wiele, znaczy, że atak w pełni się udał.

Nieokreśloność, a zarazem zbytnia nadzieja, którą pokładano w „Piśmiennictwie“ Feldmana, dała pole rozwoju dla fermentu tchórzostwa i wykręcania się sianem z zagadnień literackich. Feldman był inicjatorem na szeroką skalę krytyki kurjerkowej, dał jej niewyczerpane pole popisów i obawę przed wyrazistością określającej myśli, dał kilku tomami swego „Piśmiennictwa“ podstawę na lat wiele powolnemu rozkładowi sądów, a co gorsza, usprawiedliwił kazuistykę, która do dziś występuje w formie wstępnych artykułów „Krytyki“.

Praca Feldmana w zakresie krytyki literackiej pozostanie wyrazem podagry umysłowej, która spłodziła zdechlactwo i sowizdrzalstwo domorosłych „etranżerów“ i przyprawia literaturę naszą o sny niespokojne na temat minionej potęgi, lub przyszłych dyktatur. Kredytujemy sobie wszystkie przypuszczalne zakłamywania się.

Krytycy nasi podobni są obecnie do owych mężów i ojców, którzy chyłkiem zdążając w zakątki odprzysięgłej rozpusty, patrzą naokół trwożliwie. Zatem, jako i owym, tak też literaturze polskiej drżeć kolana poczęły. Rozzuchwalił najmłodszych ton nieodpowiedzialności myślowej, której rodzicami do dziś jest władne, z okresu „Młodej Polski“, wyciągające macki pokolenie tchórzów i pasorzytów polskiej soli.

M. DĄBROWSKA.

Ostrów i Bocheń.

Z CYKLU «SZLAKIEM PRACY».

Do wsi Ostrowa w Łowickim jedzie się dobrą szosą siedem wiorst poza Łowicz. Kiedy się przyjeżdża od dworca Kaliskiego, mimo miasta, zostawiając je po prawej ręce, można zobaczyć ciekawą rzecz.

Od podmiejskich łęgów odcina się zwarty szary parkan, bardzo dużą przestrzeń obejmujący. Właśnie, gdy jechałam, wielka furta była otwarta i widziałam, jak nad nieskończoną łuską szyb inspektowych schylało się wiele dziewczyn krasnych i złotych od blasku swoich wełniaków. Okien inspektowych jest tam, jak mi powiedziano, sześć tysięcy.

Hoduje się młode, wczesne jarzyny dla Warszawy i Łodzi.

Zadziwił mnie ten śmiały rzut pracy rolniczo - przemysłowej, tak nawskroś nowoczesnej.

Zadziwił i ucieszył.

Mojej radości prędko położono kres, informując mnie, że całe to olbrzymie przedsiębiorstwo zorganizowane jest przez Żyda, nie mówiącego nawet po polsku.

Doznałam tego samego uczucia, co wtedy, kiedy dowiedziałam się, że ogródki podwarszawskie zaczynają wydzierżawiać chłopi cudzoziemcy.

Rzecz szczególna — jak strasznie często, szukając nurtu i szlaku pracy polskiej, odnajduje

się w najśmielszych zamierzeniach właśnie cudzoziemca.

Nawet zapoczątkowanie rynków wewnętrznych, którymi się tak cieszymy jako jedną z koncepcji uniezależniania się — zaczyna być dokonywane przez cudzoziemców, dla cudzoziemców.

My zatrzymujemy się jakby na progu naszych własnych o pracy polskiej wyobrażeń i z bolesnym uśmiechem skazańców, spoglądamy, jak inni tę pracę rzeźko za nas robią.

Paraliżem niewoli tak jesteśmy tknięci już we wszystkich naszych tkankach.

Patrząc na te tysiąc okien inspektowych i na te kilkadziesiąt dziewuch, które mi się zdały dziwnie żałośnie nad cudzą pracą pochylone — myślałam, że oto jest jeszcze jedno niepodjęte zadanie polskiego Piasta, i że obcy i do rolnej produkcji się już biorą — na urągowisko dla niego — oracza, krew z krwi i kość z kości.

Byłoby to już jednak odwrócenie ostatniej, czwartego podboju, stronicy.

To też dzwon na pracę, na straszny odradzeńczy i twórczy wysiłek, całą Polskę wzywający — tym bardziej dzwonem jest na trwogę, gdy o wieś i o jej niespełnioną dotąd cywilizacyjną misję chodzi.

* * *

Oto Łowickie — oto owa równina karmiąca i soczysta, gdzie niewiadomo co bardziej jest roślinne, czy drzew haszcza nad drogą rozłożona gałęźmi, czy krasne ludzi postacie.

Oto dwie owej okolicy wsie—Ostrów i Bocheń — prawie w jedną złączone, sąsiedzkie, ogromną wstęgą przepasujące niezmierzoność pól.

Kmieć tu jest zamożny — zasobny. Ziemi od 20 do 65 i więcej morgów. Siedzi na dobrach poprymasowskich, więc pańszczyzny prawie, że nie znał. Stąd w charakterze więcej ma cech wspólnych z ogólną psychiką polską — mniej specyficznie pańszczyźnianych lub z życia pańszczyźnianego wynikających.

W stosunku do ruchów społecznych i ludowych, do prądów ocknienia i do chęci stworzenia ze wsi polskiej wartości w swoim rodzaju jedynej, a nowotnej — jest włościanin tych wsi raczej powściągliwy—może nawet zlekka wzgardliwy — zmiany lubi wypracowywać w sobie lub czekać, aż się powoli, powoli w życie wetrą.

Junacko wychodzić na spotkanie nowych prawd nie lubi.

Typ życia tych wsi jest raczej roślinny — przyjmujący, niż ucieleśniający chybką zwinność poszukującego i kosztem największych niebezpieczeństw osiągającego największe korzyści kręgowca.

Wieś Ostrów rozłożona jest po obu stronach drogi. Od strony południowej, chałupy wszystkie frontem do drogi zwrócone—wszystkie po 3 do 6 okien frontu mają.

Kryte słomą, jak wszędzie tak i tu, jeden uroczy stos dla ognia tworzą. Ściany z brunatnego lub czerwonawo barwionego drzewa, lub też w krzyżyk błękitny, albo całe na modro barwione lakmusem.

Podwórza i sady za domami — i po drugiej stronie drogi, gdzie również siedzą w swych małych jednoizbowych chatynkach wyrobnicy (nieliczni) — płacący włościanom czynsz, czasem odrabiający część dzierżawy — pańszczyznę.

Wszyscy włościanie posiadają stałą służbę, a przynajmniej jest to zasadą ogólną. U p. Teofila Kurczaka jest dwoje stałej służby—w czasie mojej tam bytności miał „na stole" 7-miu najemników przy budowie nowoczesnej murowanej stajni.

Latem we żniwa miewają Ostrowiacy najemników po 12 i więcej. Płacą im wtedy po rublu dziennie i pięć razy jeść dają, a je się zasobnie, bez obrachunku.

Właściwie robi się na to, by zjeść i dać najemnikowi a gościowi. — To jest charakterystyczna cecha tej *pracy* i w tem leży jej piastowość.

„Kto nie robi na chleb, musi za chleb" — oto przysłowie, które mogłoby być napisane tam u czoła chałup, jako całkowita koncepcja pracy. I drugie: „Gość w dom, Bóg w dom". — W samej rzeczy. Rezultatem pracy jest dostatniość tego wszystkiego, co potrzebne, by z głodu nie umrzeć i gościa przygodnego mieć czym nakarmić. Rodzą jabłonie, mleko dają krowy, miód pszczoły, — oracz pomaga naturze, by go wykarmiła i w jego prostym dostojeństwie niema nic z tragizmu i poszukiwania, które cechuje człowieka, twórcę kultury nowoczesnej, gdzie każdy ruch nasz i czyn wyzwala tysiąc zjawisk w najbardziej oddalonych kresach świata, gdzie żyć, znaczy ciągle coś nowego dodawać — stare przetwarzać i mieć się na baczności.

Zasadniczo biorąc, tak samo, jak było w Ostrowie za Piasta, jest i dziś—zmiany otarły się o wieś, lecz nie wstrząsnęły nią i nie przekształciły jej wewnętrznej postaci w placówkę zbiorowego wysilonego życia kulturalnego i przemysłowego, jakiego przyszłość nasza od wsi wymaga. [1])

Wprawdzie jest już dziś kilka egzemplarzy pism we wsi, ale za Piasta przebiegały wici królewskie i królów ze wsi brano na książęce krzesła.

Mocnej zaborczej wspaniałej organizacji

[1]) Pomimo nawet to, że niektórzy włościanie posiadają już nawet rowery. Niema tego co tworzy współczesność *świadomej zbiorowości.*

życia, której praca nad stworzeniem nowoczesnej cywilizacji wymaga, niema jeszcze w Ostrowie. I dlatego pod bokiem niemal tej wsi, tylu innych obcych zakłada olbrzymie szklarnie płodów ziemi, a bogate możliwości życia *codziennego* leżą niezużyte.

A jednak ta zasiedziała stara prymitywna kultura jest na swój sposób doskonałym materjałem na przekształcenie się w cywilicję nowoczesną.

Już w tych dwuch wsiach zamożnych, o których mówię, jest miejsce na ogromną mocną budowę wielu instytucji.

Przy istniejącym tam dziś bogactwie widzę w nich dom ludowy z czytelnią, cały szereg stowarzyszeń młodzieńczych i kobiecych, conajmniej 2 szkoły (w Bocheniu jest gminna — w Ostrowie żadnej) teatr i okiestrę amatorską.

Cóż dopiero mówić o możliwościach tej cywilizacji — jeśli bogactwo ogółu zostanie wzmożone przez zorganizowanie produkcji, wzmożenie jej, zkooperatyzowanie przetwórczości rolnej. Niema kresu kultura i potęga, jakiej ogniskiem mogłaby wówczas być wieś! Należy tylko tę roślinną senną energję wyzwolić — nadać jej cechy zdobywcze i chętne do walki z przeszkodami.

Są już drobne próby organizowania świadomego zbiorowej pracy ku osiągnięciu czegoś więcej, niż chleba powszedniego.

W Bocheniu trzech gospodarzy założyło spółkę młynarską by samym niezależnie od pośredników sprzedawać mąkę.

Czerwona sylwetka stękającego młyna odcina się dziwnie a na swój sposób wesoło od zieleni pola i cichej modrości chałup.

Młyn poruszany jest przez motor gazowy o sile 35 koni. Może mleć 150 korcy na tydzień. Oswietlony jest elektrycznością — na skutek czego jeden z właścicieli p. Panek mógł drut do swej chałupy przerzucić i swą łowicką izbę elektrycznością oświetlić.

Do młyna zakupuje się zboże z sąsiednich wsi — mielą tam również swoje wszyscy gospodarze — płacąc odsetkę ze zboża.

Należy tylko życzyć aby takie spółki młynarskie powstawały na zasadach bardziej kooperatywnych.

Aby były zakładane przez ogół włościan dla wspólnego interesu całej wsi, a może nawet okolicy.

Inaczej konkurencja zacznie psuć te wysiłki ku unowocześnieniu pracy i nadaniu jej charakteru niezależnej polskiej siły — o co chodzi.

W sąsiedniej wsi powstał już drugi młyn, założony przez czterech gospodarzy, i ten robi Bocheńskiemu konkurencję, na której zapewne skorzysta znowu sprytny jakiś cudzoziemiec.

Fakt ten nie miałby miejsca, gdyby powstał jeden młyn siłą gromadzką wniesiony i zakładający conajwyżej swe filje.

Kooperatyzm, współdziałanie zdaje się być jedną z tych niezawodnych dróg, którymi idąc wieś nasza wzniesie się od pierwotnej pracy piastowskiej do nowoczesnej pracy cywilizacyjnej w znaczeniu szerokim, Mickiewiczowskie jej pojęcie, ogarniającym.

M. PASZKIEWICZ.

Sztuka Pawła Cezanne'a.

Jest coś paradoksalnego w gorączkowym uwielbieniu sztuki Cezanne'a. Mimo że kanon, z jej zasad ukuty, stał się bojowym znakiem młodych, publiczność lekceważy ich wysiłki, otaczając równocześnie glorjolą zachwytu postać starego mistrza, wyśmiewanego za życia.

Lecz w tym gromadnym pokłonie w stronę nieuznawanej dotąd świętości, trudno jest rozpoznać bezwiedny gest estetycznego instynktu. Jest to raczej nagminny przejaw snobizmu, niż wynik istotny przemiany światopoglądów estetycznych.

Albowiem publiczność, wychowana na impresjonizmie (biorąc najlepszy wypadek), nie mogła zrozumieć sztuki, która istotą swoją podstawy tego kierunku negowała, nie zbliżając się przytym do żadnego muzealnego wzoru. Dlatego, zachęcona przez adoracyjny koncert krytyki i umiejętną spekulację handlarzy, publiczność poszła po linji najmniejszego oporu t. j. bezprzedmiotowego zachwytu, ułatwiając tym sposobem jednostkom, w sporze o Cezanne'a zainteresowanym, urządzenie jego jaskrawej apoteozy.

Lecz i u wielu malarzy — „uczniów" i naśladowców Cezanne'a — gromadne zwrócenie się na drogi przez niego wskazane, nie było wynikiem głębokiego tych dróg zrozumienia.

Przemycano pod dziwaczną szatą „cezanizmu" własną nicość i brak inicjatywy twórczej, a prawo artystycznej mody podniosło do godności „syntetystów" tych marnych przeżuwaczy formuł.

Jednakże, obok objawów zbyt pochopnego naśladownictwa, dadzą się odnaleźć w współczesnej kulturze estetycznej wartości, które dojrzeć mogły tylko na gruncie cezanne'owego wpływu. Czysta wymowa formy, poza znaczeniem literackiego tematu — jako pierwszorzędny sprawdzian krytyczny, i dążenie do stylu, do syntezy,

ako zasadniczy motyw młodych wysiłków, dadzą się wytłumaczyć genetycznie tylko oddziaływaniem tworu Cezanne'a.

Do niego, jak do skupiającego węzła, dadzą się ściągnąć linje nowych dążeń. Istotnie, węzłem znamiennym i kamieniem milowym rozwoju jest sztuka Cezanne'a na drodze od impresjonizmu. Bez jej poznania, ani teoretyczne podstawy kubizmu, ni styl Perain'a i Matisse'a, ani wreszcie manieryczna jednakowość Friesza nie byłaby dla nas zrozumiałe.

To, co się stało zasadniczym tonem współczesnej sztuki, t. j. dążenie do stylu i czystości estetycznego wydźwięku w malarstwie, znalazło głębokie i różnorodne zrealizowanie w twórczości Cezanne'a.

Już wtedy, gdy przez wpływy Delacroix'a, Daumier'a i Courbet'a, torował sobie Cezanne drogę do oryginalności, sztuka muzeów była mu przewodnikiem tych poszukiwań. Jednak — nie celem ostatecznym. Dlatego, nie można wytłumaczyć całkowicie jego twórczości, jakąś dorywczą analogją z historji nauki. To co Cezanne wziął z muzeów, a później z impresjonizmu, było mu tylko tłem do porównań własnego wysiłku, bodźcem do szukania własnego gestu. Lecz poszukiwania te, odbywały się poza przymusem impresjonistycznej formuły. Cezanne skorzystał z impresjonizmu wiele. Wzbogacił swą zadawnioną paletę ustalonymi w plein'airowych studjach kontrastami i nauczył się odkrywać w pejzażu subtelne powinowactwa kolorów, nieprzystępne dla malarza, tworzącego wyłącznie w pracowni.

Lecz, czy to instynkt romański, czy osobisty smak i głęboka muzealna kultura kazały mu zatrzymać się wpół drogi, przed koniecznością nieustannego eksperymentowania. Cezanne odrzucił praktykę analitycznej metody impresjonizmu, starając się równocześnie zmienić jego wyniki w jakąś trwałą, muzealną formułę.

— Chciałem uczynić z impresjonizmu coś podobnego do sztuki muzeów — mówił w rozmowie z Bernardem.

Wprowadzić impresjonizm do muzeum, znaczyło, przemienić w sztukę eksperyment malarski. Impresjonizm — a mam tu na myśli bardziej kierunek, który dokonał przeobrażenia w sztuce, niż twórczość Pissara, Monet'a czy Sisley'a — był w zasadzie syntetyczny, albowiem starał się oddać wrażenie, więc zobjektywizować stan duszy. Lecz w środkach swych byl analityczny. Pojmował bowiem kolor jako nieskończoność kontrastów plam barwnych, które, rozkładane umiejętnie dawać mogły migotliwy efekt światła lub atmosfery, lecz zatracały jedność formy. Było to malarskie badanie światła, oparte z konieczności na podstawach naukowych, albowiem, tylko prawa siatkówki stały się jego celem.

Życie wzruszeń twórczych zanikało w takiej postawie do sztuki.

Cezanne zrozumiał, po bezowocnem naśladowaniu natury objektywnie, że malarz realizując „sa petite sensation" może naturę wyobrazić symbolem, lecz oddanie jej z matematyczną ścisłością nie leży w zakresie środków ni celów sztuki. Dlatego, zaczął szukać, poza analitycznym eksperymentem, symbolów bardziej syntetycznych i prostych, oraz formuł harmonijnych i trwałych, któreby pełnię plastycznego przeżycia wyrazić mogły w całokształtnym planie. Na tym tle rozwija się u niego wola stylu a zarazem konflikt między refleksją a wrażliwością. Wrażliwość nie przestanie być u Cezanne'a źródłem zapoczątkowań twórczych, lecz elementy dorywczych wrażeń zostaną głęboko przepracowane i nagły poryw, (jedyne u impresjonistów usprawiedliwienie dzieła sztuki) zmieni się w jego procesie twórczym w rozważny i refleksją bogaty gest.

Przez taką, ciągłą dyscyplinę myśli urzeczywistnia Cezanne koncepcję obrazu. Pojęcie obrazu nabiera, gdy o płótnach Cezanne'a jest mowa, jasnego i zamkniętego znaczenia: równowagi między subjektywnym a objektywnym w dziele sztuki. Złe czy dobre, każde płótno Cezanne'a jest obrazem, każde jest konstrukcją, w której wysiłek myślowy rozłożył logicznie materjał wrażliwości.

Wszystko jedno co przedstawiają te płótna: spękany od południowego żaru pejzaż Prowancji, martwe natury, czy barokowo ekspresyjne akty. Każde z nich jest dekoracyjną całością związaną logicznie, i poddaną w układzie pod głęboki rytm kolorystyczny. Nie ma w nich przewagi literackiego tematu nad czystą wymową formy; dlatego, interesują same przez się, — przez sztukę i malarstwo.

Nie tematyczna jasność, lecz największy wydźwięk kolorowej plamy i jej siła potęgowana odpowiednim sąsiedztwem była świadomą troską Cezanne'a.

Zamiłowanie i radość koloru zbliżają go bardziej do wschodniego hafciarza, układającego plamy barwne w mozaikę dywanu, niż do Delacroix'a, który zawsze starał się o wyrażenie tragizmu czy liryzmu, gdy interpretował malarsko odpowiednią scenę z Biblji lub Schakespeare'a. I, w tem dążeniu do czystego malarstwa leży głęboka dla naszych czasów nauka! Czyż nie mieszano dotąd rozmaitych rodzajów sztuk? Malarstwo z literaturą, rzeźbę z malarstwem, literaturę z muzyką? Cezanne uświadomił nam dzięki jednolitości swej organizacji twórczej najistotniejsze dane z malarstwa, które granice

jego praw określają. Był on tym, który tylko malował...

Wybitnie plastyczne odczuwanie wartości koloru tłómaczy u niego charakter form. Przeżycie formy i koloru zlewa się nierozdzielnie w jego procesie twórczym.

Forma osiąga swój możliwy wyraz przez wypełnienie założeń koloru, zaś granice formy określają wartość plamy.

Serje planu budują formę. Następują one po sobie w analogiach lub kontrastach, zależnie od tego, czy forma się przedłuża czy przerywa. Ich związek poddany bywa zawsze pod głęboki uogólniający rytm, który jest tajemnicą cezanne'owego „modulowania".

Linja nie ma w tej sztuce żadnej, odrębnej wymowy. Jest to raczej kierunek formy, niż samodzielnie określający element. Jako kontur, podkreśla i izoluje formę, wydobytą degradacjami koloru.

Zmuszony do uproszczeń już przez ogromne poczucie syntezy i skrupuły szczerości, Cezanne musiał często defigurować, skracać lub przygniatać formę, chcąc uczynić ją najbardziej ekspresyjną.

Stąd, porwane, i w dziwacznych proporcjach budowane akty jego kąpiących się kobiet, przesadnie nabrzękłe kształty dzbanków, waz, i t. d. i wymuszona perspektywa ułożeń. Syntezyczne tendencje objaśniają te wszystkie przeskoki, przerywy i skróty, tę pozorną niedołężność rysunku Cezanne'a, która mu na długi czas zjednała imię prymitywa. Trudno jest dzisiaj mówić o prymitywizmie Cezanne'a, jak trudno dopatrzyć się sensu w tej praktyce naiwności jaką uprawiają naśladowcy tego rzekomego „prymitywizmu." To, co u niego było koniecznym objawem nieprzejednanej szczerości, stało się u Karsa, Friesza, Vlamincka i innych, łatwo przyswojoną formułą. Dzięki im właśnie Cezanne stał się doraźnym sprawdzianem dzisiejszych dążeń.

Uprościć formę nie znaczy dla Cezanne'a wtłoczyć ją w pewien obmyślony szemat ujmowania, lub sprowadzić różnorodność geometrycznych symbolów do kilku, najprostszych. Cezanne szuka syntezy w pełni koloru i formy; dlatego daleki jest od abstrakcji.

Jego zdolność abstrahowania dochodzi tylko do rozróżnienia form sferycznych, stożkowych i cylindrycznych, a różnorodność jego kolorowych gam pomnaża te formy do nieskończoności. Niema więc w jego konstrukcjach malarskich stale powtarzającego się typu formy, któryby wskazywał na manieryczność postawy wobec natury. Świeżość bijąca z jego płócien mówi, że zbliżał się on do natury z głębokim ozrzewnieniem dziecka, że sucha spekulacja i mechanika obmyśleń nie miały miejsca w jego procesie twórczym.

Ta bezpośredniość odczuwania jest źródłem malarskiej poezji Cezanne'a. Żyje ona poza krytyczną formułą, którą tu, z punktu malarskiego staraliśmy sie przedstawić i, jak każda poezja czysto plastycznej formy, na słowo przetłómaczyć się nie da.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Przedstawienia teatralne przed forum publicznym są z pewnego punktu zdaniem rachunku przez kierowników z powierzonego im aktorskiego materjału. Dla oka widzącego ujawniają się w takich chwilach wszystkie zbrodnie Teatru: wyzyskiwanie sił aktorskich nad miarę, narowienie tych sił przez fałszywą obsadę, atrofje i hypertrofje na skutek faworyzowania jednych sił kosztem drugich, oraz owa zbrodnia największa, którą jest trzymanie długie w nieczynności zaangażowanych sił a przez to zaprzepaszczanie talentów, albowiem aktor przedewszystkim, i to każden, powinien *pracować i jeszcze raz pracować.*

Popisy szkół dramatycznych, podobnie jak przedstawienia teatralne, są również spowiedzią—mimo chęci może—kierowników i nauczycieli: ujawniają one grzechy szkoły, lekkomyślności i niesumienności „starszej braci", nieudolności wszelkie, czyli poprostu sumę, która potem w refleksach pokutuje przez długie lata w młodych adeptach na rozmaitych scenach.

Sądząc z popisu *szkoły dramatycznej przy Towarzystwie muzycznym warszawskim* (niedziela 21/6), szkoła ta musi posiadać do najwyższego stopnia nieudolne kierownictwo, skoro po dwóch latach nauki jedni uczniowie wychodzą tak „jak weszli", zaś drudzy w całej skali przejść zmanierowani lub wprost połamani. To, że maniera rozłożona zostaje nierówno, dowodzi, że uprzywilejowanie jednostek jest na porządku dziennym i że szkoła daleką jest od rozdzielania sprawiedliwego swych wysiłków na wszystkich adeptów; maniera znowu, zarażanie manierą dowodzi, że szkoła chyba więcej obcuje ze starością lub śmiercią, niż z życiem.

Poza *elementarne aktorstwo* (sic!) nie wychodzi ta szkoła. Brak gimnastyki rytmicznej i solfeżu, brak choregrafiki zasadniczej (wogóle wszelkiej eurytmii plastycznej), zatym jakiegokolwiek wysiłku w kierunku umuzykalnienia ruchów; brak syntetyzowania zespołów i kontrapunktów dramatycznych, zatem jakiegokolwiek wysiłku w kierunku inscenizacyjno-reżyserskim, ujawniają się co chwila i czynią ze szkoły, nie szkołę roku 1914, ale jakąś szkołę *przedpotopową*, chcącą produkować najtańszy materjał aktorski na scenę, która zadowoli się karykaturowaniem i parodjowaniem Wielkiej Sztuki.

Cały popis (14 kawałków) polegał od początku do końca na mniej lub więcej udałych

dyalogach; erotyka zabarwiała kursywę całego popisu; mimika — alfa i omega sztuki teatru — była na ostatnim planie. Pominięcie Szekspira, fundamentu każdego teatru, było uderzającym. Djabeł podobnie omija święconą wodę. Zresztą było to logiczne: Szekspir idzie z gestem i życiem.

Przechodząc do szczegółowego bilansu, musimy podkreślić, że *najczystsze gesty*, mimikę pełną prawdy i miary posiadała *M. Otrembska*. Szczęściem jest, że szkoła nie zwichnęła tej uczennicy; nie wiedziała co z nią czynić, pozostawiła ją w stanie surowym, nie podniosła przez pogłębienie na wyższe stadjum. Zdumiewam się zawsze nad kierownikami teatrów czy szkół dramatycznych, którzy nie umieją wyczuwać przed sobą „życia", mogącego ewolutywnie wschodzić w coraz nowszych formach.

Inny rezultat szkoły musimy zapisać, mówiąc o *H. Kacickiej*. Uczennica ta „niedojrzała" jeszcze do najwyższej koncentracji wizyjnej (Przybyszewski) ujawniła w Rostandzie niebywałą *młodość*. Gra jednak wykazywała co chwila rażące naleciałości „obcej" gry; szkoła nic nie uczyniła, aby czystość gestu rozprowadzić na całość. Tylko bezpośredniość gry, do ostatka posunięta *czujność*, może roztworzyć dla tej uczennicy szerokie bramy istotnej Sztuki — misz-maszowa szmira, która zakradła się dzięki szkole, musi być bez litości zdarta — byłoby fatalnym, gdyby zaciężyła nad przyszłością młodej i zdolnej artystki.

K. Kurnatowska ujawniła niebywały talent dramatyczny. Śmiech, drgnięcie na okrzyk Grabca, obłęd usłyszenia własnych słów przy zabójstwie Aliny miały głębię i czystość wizyjną. Szkoła nic nie uczyniła nad ujednostajnieniem gry: pozwoliła aby akcenty dramatyczne zluźniały się i załamywały. Stało się to dzięki bezsensownej inscenizacji: dość powiedzieć, że Balladyna siadała na ziemi obok Aliny (sic!) a nie stała przed siedzącą Aliną w pewnej odległości, jak żąda tekst Słowackiego i cała eurytmja wiersza. Sama scena zabójstwa nie miała głębszej interpretacji: widać poprostu było, jak kierownicy sami nie wiedzą co czynić, kiedy przychodzi istotnie wielka Sztuka i konieczność interpretacji tej Sztuki. Zaprawdę, rozumieć jedynie tanie dyalogi erotyczne, to dla szkoły trochę za mało! Panna Kurnatowska powinna podziękować sobie, że ani zmanierować, ani zwichnąć się nie dała... wizjonerstwo, z którym przyszła do szkoły, powinno prowadzić ją do wzlotów. Zatym ewoe, zanurzyć się w Szekspirze (o ile można, w oryginale!) i szkołę jaknajprędzej zapomnieć!

Niezmiernie bogatą w muzykalność choregraficzną była *M. Karpowicz*. Szkoła (Towarz. muzyczne!) w tym kierunku nie wiedziała co zrobić. Rola Matyldy z Małżeństwa Apfel była ani przypiętą ani przyłataną do jej indywidualności — odzwierciadlała ona tylko, że młoda adeptka posiada niezmiernie subtelne uczucia, dla których będzie musiała znaleźć twórczy wyraz na scenie.

P. Karpowicz może sobie powiedzieć: dwa lata szukałam się w szkole i... ruszyć w świat, gdzie jest wielka muzyka i wielka twórczość.

M. Falęcka, niezmiernie inteligentna interpretatorka Mazepy, posiadała nie tyle manierę gestów, ile pewną niewyrazistość, chciałoby się powiedzieć „mieszańcowość" gestów. Szkoła nic a nic nie uczyniła, aby słowo osadzić na gestach, oraz aby same gesty wyklarować i ubezpośrednić. Nadmiar intelektu żądał obfitego solfedżu i gimnastyki rytmicznej: rezultat — pewne skoncentrowanie i gubienie się we własnej świadomości spotęgowałoby grę. Wszystkie błędy szkoły zaciężyły nad p. Falęcką; materjał doskonały nie został podniesionym do siły aktorskiego sztychu. Także nie rozwinięto niezaprzeczonych zdolności inscenizatorskich na reżyserską siłę.

Ograniczyć musimy analizy, które były konieczne aby umotywować nasz sąd o szkole. Reszta uczennic (Białkowska, Kopczyńska, Ziemens, Raabe) rzuca niemniej jaskrawe światło na walory pedagogiczne kierowników i wychowawców, którym były powierzone.

Charakterystyczną rzeczą dla szkoły było *bogactwo materjału żeńskiego*; materjał ten uderzał wprost wyrazistością i indywidualnością, siłą pędu i potęgą twórczą. Dlatego stosunkowo łatwo było go określić. Co do mężczyzn, trudno było sobie zdać sprawę: sylwety były zbyt niewyraźne i jednostajne, zbyt zamazane i zbyt mało indywidualnie rozwinięte. Faktem pozostaje, że szkoła nie wydobyła z Kieffera, Maliszewskiego, Krotkego, Babenki, Petera i Brańskiego żadnych zasadniczych i czystych linji rozwojowych; dopiero scena prawdziwa okaże się zapewne platformą wdzięczniejszą; *da capo* jednak trzeba będzie wszystko zaczynać.

Na zakończenie wspomnę o zjawisku wyjątkowym którem była *H. Buczyńska*, przyszła wielka artystka z pełnią *natchnienia*. Żywioł porywał i rozsadzał tę urodzoną aktorkę, unosił i wyzwalał przebogate symfonje gestów (Jewdocha „Sędziów"). P. Buczyńskiej szkoła nic nie dała i nic nie odebrała i nie mogło być inaczej. Wszystko bowiem co prowadzi twórczość tej artystki, jest w niej całkowicie złożone: głębokość i siła tej twórczości zależne są tylko od rozwoju wewnętrznego, od pogłębienia własnego „ja", od rozszerzenia tegoż „ja" na ocean problemów wewnętrznych.

Jeżeli jaką zasługę przyznajemy szkole — co miło nam jest podkreślić na jej korzyść — to to, że nie obniżyła ona Buczyńskiej do repertuaru groteskowego i komedjowego, ale sankcjonując Kisielewskiego i Wyspiańskiego, pozwoliła ujawnić się tej artystce w głębokiej i wielkiej Sztuce. Warunki zewnętrzne są ważne, ale *natchnienie* jest jeszcze ważniejsze. To ostatnie dopiero rozstrzyga w Sztuce i ono zwycięża w Teatrze, pociąga widzów ku sobie i widzów tych hypnotyzuje przez wyczarowywanie owego Piękna, do którego się dostać można zawsze tylko jedynie przez natchnienie. Cała przyszłość p. Buczyńskiej jest też w tem natchnieniu.

Przypominamy szanownym abonentom o uiszczeniu przedpłaty na drugie półrocze.

OTTO.

Wrażenia.

KAZIMIERA OSTACHIEWICZOWA: Nowe prądy, nowe dążenia w wychowaniu. Wiek XIX i XX-ty.

Książka pedadogiczna, wydana przez Kasę Mianowskiego, jest rzadkością, tym większe tedy musi wzbudzić zaciekawienie wyjątkowym obdarzona przywilejem praca p. Ostachiewiczowej. Oczywiście nie byłoby wcale rzeczą dziwną, gdyby instytucja, która kwotę 400,000 rubli, jako nadwyżkę dochodu nad wydatkami przekazuje na zwiększenie kapitału, popierała materjalnie wszystkich pracujących na polu naukowym, darząc zachęcającym zasiłkiem dobre chęci i obiecujące początki, a nietylko wartościowe dzieła i bezsporne zasługi. Jednakże, gdy widzimy, ile cennych naukowych wydawnictw wychodzi u nas nakładem autorów lub ideowych grup wydawniczych, walczących z brakiem środków, tylko bardzo wybredny wybór mógłby do pewnego stopnia tłomaczyć, lecz nie uzasadnić, zdumiewające skąpstwo Kasy Mianowskiego.

Instytucje publiczne nie na to istnieją, ażeby ciułały grosz do grosza, lecz aby jaknajowocniejszą rozwijały działalność. Gdyby każda rzetelna praca naukowa w Polsce zapewniała pracownikom choćby mierny byt, gdybyśmy nie mieli uczonych, nie mających czym dachu nad głową opłacić, gdyby u schyłku życia, goniąc resztką sił, znakomity i zasłużony psycholog i pedagog nie musiał ostatnich dni spędzać w bezowocnym poszukiwaniu pożyczki na kurację, gdyby, słowem, praca naukowa nie musiała u nas iść w parze z ascetyzmem Kameduły i odwagą i zaparciem się siebie misjonarza wśród dzikich, to wówczas — możnaby zrozumieć, dlaczego Kasa Mianowskiego odkłada krociowe kapitały na czarną godzinę. Czemu jednak czyni to w godzinach najczarniejszych? to już jest jej osobistą tajemnicą.

Książeczka pani Ostachiewiczowej nosi wszelkie cechy pierwszej próby na polu dotąd dla autorki mało znanym, oraz dobrych chęci, zasługujących na szczere poparcie, ale również na umiejętne pokierowanie. Przedmowa, napisana przez p. Anielę Szycównę, oraz słowo wstępne autorki, która nawzajem pannie Szycównie za udzieloną pomoc dziękuje, kazałyby przypuszczać, że w tym razie dobrych rad nie brakło, widocznie jednak obie te pisarki wolały poprzestać na wymianie uprzejmości i usług, niż przez połączenie doświadczenia i wiedzy jednej z nich, a pracy i zapału drugiej wydać wspólnemi siłami rzecz wartościową.

Pani Ostachiewiczowa — jak to się zwykle zdarza w początkach zawodu — pisze tak, jakoby sądziła, że książka jej ma czytelnikom zastąpić czytanie wszystkich innych z danej dziedziny, tak jakgdyby przed nią nic w tym kierunku nie pisano i nie drukowano. Ponieważ zaś, jak mówi przysłowie, «*qui trop embrasse, mal étreint*», wszystko co wykracza po za właściwy jej temat, zobrazowania szkół nowego typu, jest niesłychanie powierzchownie traktowane i roi się od błędów. Rzut oka na historję pedagogji mieści się na czterech stronach; nic dziwnego, że pominięto tu całe szkoły i kierunki pedagogiczne. Ocena szkolnictwa w różnych krajach zajmuje stron 7, a z tych dwie poświęcono szkolnictwu amerykańskiemu, gdzie w jednym miejscu powiedziano, że szkoła jest instytucją lokalną, municypalną, kierowaną przez Radę z wyboru ludu, w innym, że rząd «względnie ministerjum oświaty», troszczy się o byt nauczycieli. Ministerjum lokalne, municypalne, czy jakie inne? To zupełne ignorowanie ustroju społecznego i państwowego, w jakim się dane szkolnictwo rozwija, przy krótkich powierzchownych uogólnieniach, musi prowadzić do zupełnie błędnych informacji. «Wybitnie postępowy kierunek szkół angielskich», stwierdzony przez panią Ost., wzbudziłby homeryczny śmiech w każdym zgromadzeniu pedagogów angielskich, świadomych tego, że nigdzie na kontynencie nie przechował się taki archaiczny typ uczelni, jak wiele najsławniejszych zakładów naukowo-wychowawczych w Anglji, że nigdzie niema takiego arystokratyzmu w szkolnictwie jak tam, a nawet to, co u nas jest nowością, ćwiczenia fizyczne i nadmierny rozwój sportu szkolnego, tam jest tradycją, przeciw której już miejscowi reformatorowie wnoszą protesty. Postępowość odnosi się tedy do szkół nowego typu, które tam, przy zupełnej swobodzie inicjatywy prywatnej i decentralizacji szkolnictwa, mogły powstać wcześniej, niż gdzieindziej.

Opłakane położenie nauczycieli ludowych nie jest tak powszechnym zjawiskiem, jak możnaby sądzić z książki pani O., gdy już przed dwudziestu laty szkoły początkowe w północnych Włoszech zwracały uwagę, uznanie a nawet naśladownictwo tak wysoko w kulturze i oświacie posuniętych narodów jak Danja.

O szkołach nowego typu przeciętny czytelnik pism pedagogicznych wie również niektóre szczegóły, widocznie autorce nieznane. Kierownik jednej z nich, słynny Cecil Reddie z Abbotsholmu, zdumiał pedagogów warszawskich, gdy z katedry prelegenckiej zachwalał karę cielasną i demonstrował kij, który w jego szkole służy jako środek wychowania moralnego uczniów. Stawianie na jednym planie wszystkich kierunków «postępowych», anarchji szkolnej Tołstoja i Czechowa, i tresury Cecila Reddie, internatów dla bogatych paniczów i amerykańskich szkół ludowych dla dzieci, którym nauka udzielana jest w okresach wolnych od pracy zarobkowej — świadczy o bardzo dziennikarskim sposobie traktowania sprawy reform wychowawczych, o metodzie, dla której nowość, aktualność i sensacyjność decyduje o wyborze tematu.

Skauting — choć niemniej modny — a conajmniej równie doniosły wynalazek pedagogiczny, bardzo pobieżną tylko zaszczycono wzmianką, ale i ta powinnaby być zupełnie ściśle z prawdą zgodna. Na zeszłorocznym zjeździe skautów w Birmingham, nie mogli niemieccy skauci wykazać «życiowej sprawności» i «wszechstronnego wyrobienia», gdyż ich tam wcale nie było, Polacy skauci nie mogli być wyróżnieni za sprawność w ćwiczeniach gimnastycznych, śpiew i taniec, gdyż *taniec* w żadnym kraju w zakres harcerstwa nie wchodzi, przeto nie mógł być i w Birmingham przedmiotem popisu. Polacy współzawodniczyli więc z innymi tylko w harcie, wytrzymałości, karności i sprawności w zbiorowych ćwiczeniach harcerskich (nie gimnastycznych specjalnie, gdyż to jest coś innego) i wytrzymali porównanie ku swej chlubie, obok tego zaś ogólne zainteresowanie ich śpiewem było tryumfem pieśni polskiej.

Książki nadesłane do Redakcji.

Fortunat Strowski (profesor Sorbony): «Obraz Literatury Francuskiej w XIX wieku». Z przedmową autora do wydania polskiego. Przekład Marji Rakowskiej. Słowo wstępne Jana Lorentowicza. Tom I i II, str. 278+388+XXIV. Z portretem autora. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp., Warszawa; L. Fiszer, w Łodzi.

A. Szelągowski: «Dzieje powszechne i cywilizacji». Tom II. Składy główne: E. Wende i Sp. — Warszawa; H. Altenberg — Lwów. 1914. Str. 392. Z 279 ilustracjami, z planami i 3 mapami.

Adolf Nowaczyński: «Apostoł Tanga» («Amulet»). Komedja w jednym akcie Nakł. L. Idzikowskiego. Kijów—Warszawa 1914. Str. 116.

Wacław Grubiński: «Dyogenes z Synopy i Aleksander Wielki» albo «Sławienie próżniactwa». Filozofja w 1 akcie. Warszawa 1914. Str. 40.

Natalja Jastrzębska: «Kłamstwo». Powieść. Warszawa 1914. Nakładem kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff; Kraków, G. Gebethner i Sp. Str. 300.

„Koło Młodzieży Polskiej w Genewie“ prosi nas o umieszczenie następującej wzmianki: Adres Towarzystwa „Koło młodzieży polskiej w Genewie“ należącego do „Zjednoczenia Tow. Młodz. Polskiej zagranicą“ od dnia 1 lipca b. r. jest następujący: Société des Etudiants Polonais „Koło“ 10 rue du Conseil Général Genève. Suisse. Towarzystwo udziela jak i dotąd informacji o warunkach studjów na uniwersytecie genewskim.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).



Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.